Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

JESTEM!

W CZASIE POKOJU I WOJNY NA STANOWISKU

ROK ~~XIX.~~ XVIII | STYCZEŃ 1938. | Nr 1.

CZASOPISMO P.C.K. DLA WSZYSTKICH



J E S T E M!

w czasie pokoju i wojny — na stanowisku

Pierwszy numer naszego pisma w nowej szacie ukazuje się w chwili szczególnie doniosłej. W całym świecie rozbrzmiewają coraz głośniej hasła obrony i samoobrony ludności cywilnej przed ewentualnością potwornej w swych skutkach wojny współczesnej. Usuwa się na plan dalszy hasła pokojowej współpracy, a wszystkie narody stają do wyścigu zbrojeń. Ulegają przeobrażeniom metody walki. Zadania P.C.K. są dziś ogromne i różnorodne, a przygotowania na wypadek wojny w dziale sanitarnym wymagają olbrzymich wysiłków i pomocy ze strony całego społeczeństwa. P.C.K. akcentuje swoją obecność na wielu frontach społecznego czynu, mówiąc: — Jestem — pracuję, niosę pomoc. Na łamach naszego pisma tę obecność P.C.K. będziemy się starali szczególnie silnie podkreślać. Ponadto starać się będziemy o zapewnienie naszym Czytelnikom ciekawej i pożytecznej lektury. Wywiady i reportaże, opisy, opowiadania, felietony, życie społeczne w kraju i za granicą — oto treść każedgo numeru naszego pisma.

Tematów dostarczać będzie życie bieżące, z którego wyławiać będziemy to wszystko, co ma związek z hasłami P.C.K., co się łączy ze zdrowiem i bezpieczeństwem życia ludzkiego.

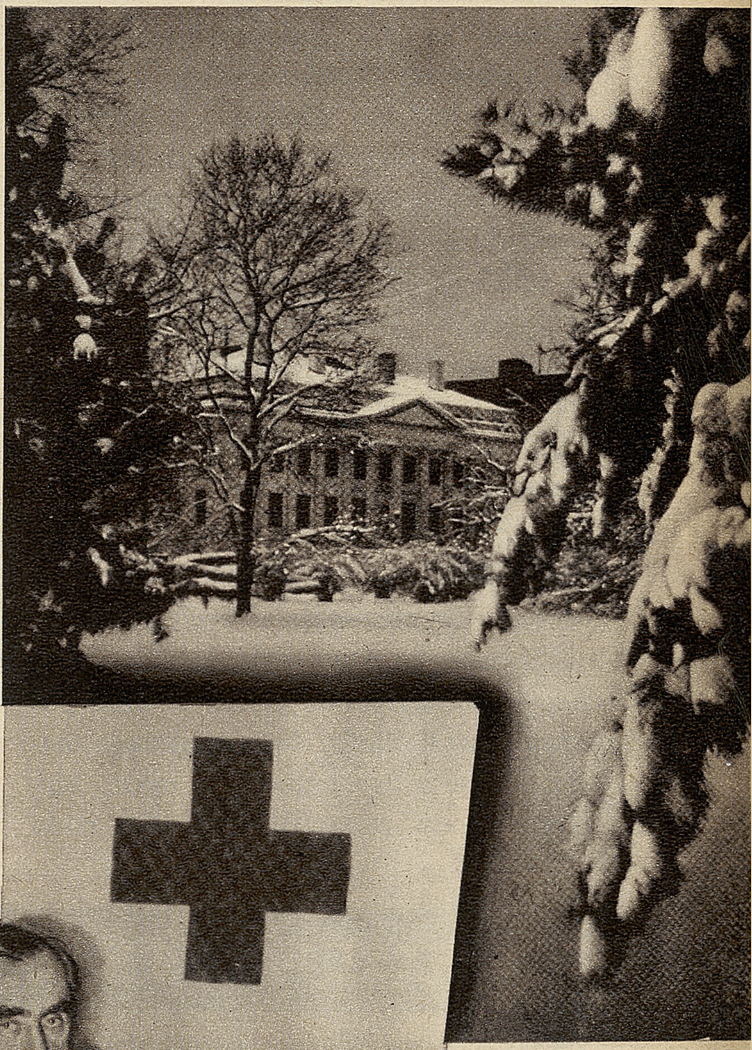
Ufamy, iż wysiłki nasze spotkają się z życzliwym przyjęciem ze strony całego społeczeństwa.

...JESTEŚMY W SŁUŻBIE JEDNEJ Z NAJWIĘKSZYCH IDEI LUDZKOŚCI

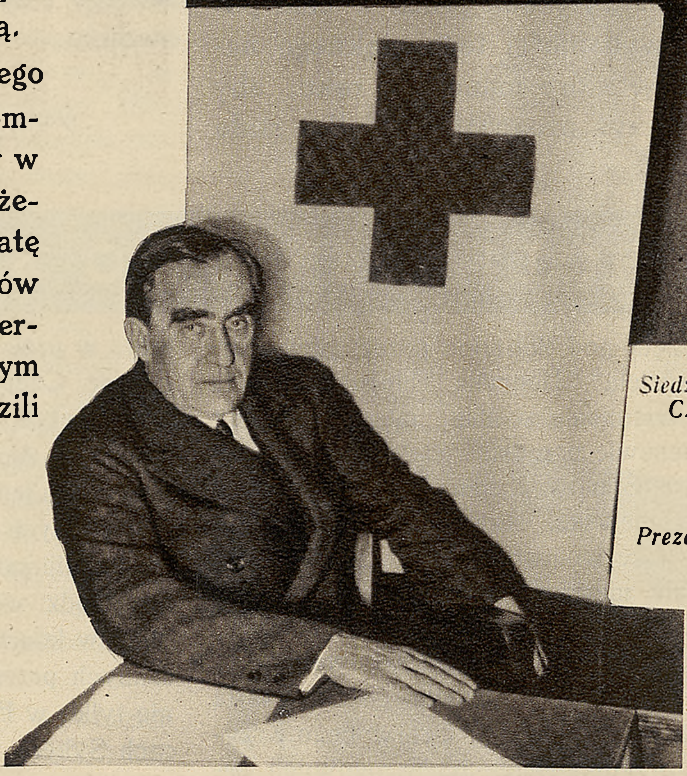
Prezes Ligi C. K. do 62 Czerw. Krzyży świata

Rozpoczynając Rok Nowy, z prawdziwą radością przesyłam wszystkim Narodowym Czerwonym Krzyżom serdeczne życzenia jako prezes Ligi Czerw. Krzyży.

Dobrze jest, stojąc na progu roku nowego wykorzystać tę chwilę, aby zamienić w gronie przyjaciół kilka uwag i stwierdzeń, na które brak nam czasu w potocznym życiu codziennym. Nam, działaczom Czerwonego Krzyża, początek roku 1938 nasuwa poważne rozmyślania, jeśli rzucimy okiem na pole naszej działalności, stwierdzimy, że nigdy jeszcze Czerwony Krzyż nie miał tak wielkiego zadania do spełnienia, bo rzadko kiedy ludzkość dźwigała tak olbrzymie brzemię cierpienia. Interwencja Czerwonego Krzyża staje się coraz bardziej aktualną.



Siedziba Amerykańskiego Czerwonego Krzyża



Prezes admirał Cary Grayson

Jako działacze Czerwonego Krzyża cieszymy się tym ogromnym przywilejem, że pracujemy w szeregach instytucji, której założenie w zesłym stuleciu stanowi datę historyczną w rozwoju stosunków ludzkich na podłożu miłosierdzia i wzajemnej pomocy. W tym roku będziemy z dumą obchodzili 75-lecie tej uroczystej daty.

Jako działacze Czerwonego Krzyża cieszymy się tym ogromnym przywilejem, że jesteśmy zrzeszeni dookoła sztandaru, posiadającego zaletę powszechności, jedyną w historii świata. Sztandar ten jest otoczony wśród największych zmagań ludzkich namiętności atmosferą umiaru, szacunku i wdzięczności.

Jako działacze Czerwonego Krzyża cieszymy się tym ogromnym przywilejem, że należymy do instytucji nienaruszalnej, nie tylko z powodu nieśmiertelnych ideałów jakie przedstawia, ale z powodu niewzruszonych podstaw nadanych jej przez mądrość i wzniosły duch jej założycieli. Podstawami tymi są: neutralność i bezstronność stojące na straży niczym nieskalanego miłosierdzia, powszechność, która pozwala Czerwonemu Krzyżowi podnieść spór w walce podjętej przeciwko cierpie-

niom ludzkości, łączność narodów, która pozwoliła na pomyślny rozwój naszej Ligi w międzynarodowej współpracy, podjętej dla dobra cierpiącej ludzkości.

Istotnie, są to świetne przywileje. W chwili obecnej moralna potęga Czerwonego Krzyża jest tak wielka — doniosłe znaczenie tych dwóch wyrazów jest tak głęboko wryte w sercu każdego człowieka, od najskromniejszego do najmożniejszego, że gdy tylko zjawia się cierpienie — istota ludzka myśli o Czerwonym Krzyżu, a gdy cierpienie się potęguje wszystkie spojrzenia wznoszą się ku górze w nadziei, że ujrzą sztandar Czerwonego Krzyża.

Wspaniałe stwierdzenie, wspaniała pewność — ale jakżeż wielkie nakładają one obowiązki!

Nie będę wyszczególniał tych obowiązków. Głównym naszym zadaniem w chwili obecnej — to wytężona praca w celu powiększenia wydajności tego pięknego narzędzia pracy, które mamy w ręku, aby Czerwony Krzyż oznaczał nie tylko stałe pragnienie, ale również stałą możliwość niesienia pomocy, jakkolwiek wielkie będzie zadanie do spełnienia. Nie brak poświęcenia w naszych szeregach, lecz, aby stać na wysokości niektórych wielkich obowiązków humanitarnych — trzeba posiadać odpowiednie środki. Zróbmy co należy dla zdobycia tych środków, aby zarówno w zakresie narodowym i międzynarodowym móc stanąć na wysokości oczekiwania i nadziei w nas pokładanych.

Oto są życzenia, jakie dzisiaj składam dostojnemu zrzeszeniu 62 Narodowych Towarzystw Czerwonego Krzyża, zgrupowanych w naszej Lidze. Ta łączność w popieraniu wspólnego ideału stanowi największą naszą siłę. Nie zapominajmy nigdy że jesteśmy w służbie jednej z największych idei ludzkości, wykonawcami idei miłosierdzia, wynoszącej człowieka ponad siebie samego i której nic miernego nie jest dozwolone.

Cary T. Grayson

prezes Komitetu Wykonawczego Ligi Cz. Krzyża,
prezes Amerykańskiego Cz. Krzyża

OD SOLFERINA DO SZANGHAJU

Myśl poczęta pod Solferino przez „szwajcarskiego marzyciela", Henryka Dunant, znalazła swe urzeczywistnienie w kilka lat później, gdy zebrani w Genewie przedstawiciele 15-tu państw europejskich i Stanów Zjednoczonych podpisali Konwencję Genewską, stanowiącą nienaruszalną podstawę Czerwonego Krzyża, zapewniającą podczas wojny nietykalność rannych żołnierzy, personelu sanitarnego, szpitali i ambulansów.

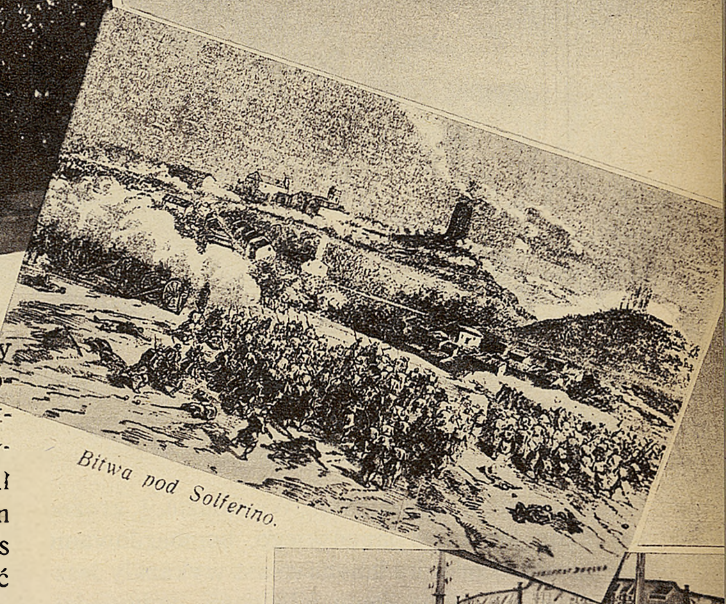
Trzecie ćwierćwiecze upływa od owej chwili. W czerwcu r. b. Londyn będzie gościł XVI-tą Międzynarodową Konferencję Czerwonego Krzyża. Zjadą się przedstawiciele 62 Narodowych Towarzystw Czerwonego Krzyża i będą obradowali nad tym, jak ograniczać gwałty i okrucieństwa wojny i jak łagodzić żelazny jej uścisk.

Od chwili swego założenia Czerwony Krzyż wchodzi do historii, występuje w każdej wojnie, zdobywa coraz więcej zwolenników i stale wzmacnia swój autorytet. Podczas wojny światowej staje się prawdziwym orędownikiem krwawiącej i nękanej ludzkości. W morzu krwi i łez, które w przeciągu 4-ch lat i 3½ miesięcy zalewa Europę, Czerwony Krzyż pracuje bez wytchnienia i nietylko wyłącznie dla rannych i chorych żołnierzy. Akcja Międzynar. Komitetu Czerw. Krzyża dla jeńców wojennych stanowi jedną z najpiękniejszych kart historii Czerw. Krzyża. Kilkanaście milionów listów i kilka milionów przesyłek przechodzi wówczas przez Genewę w drodze do obozów koncentracyjnych, stale poza tym odwiedzanych przez delegatów Czerwonego Krzyża, nie tylko w Europie, lecz na najdalszych krańcach Syberii i Turkiestanu.

Stale wzrastająca dynamiczna siła Czerwonego Krzyża musiała znaleźć ujście po zakończeniu wojny światowej. Zrozumiał to praktyczny i humanitarny umysł Henryka Davisona, Amerykanina, twórcy Ligi Czerwonych Krzyży. Cały ogrom pracy czerwonokrzyskiej przerzucił się na cele pokojowe. Czerwony Krzyż począł służyć zdrowiu ludzkiemu i pracować nad odbudową życia po niszczycielskim okresie Wielkiej Wojny.



Pierwszy na świecie szpital Czerwonego Krzyża — w kościele w Castiglione



Bitwa pod Solferino.

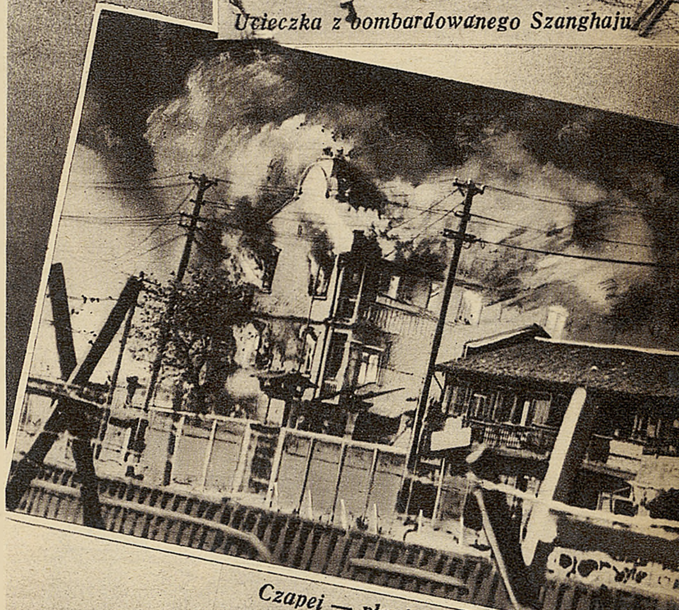
Powoli poczęły się zacierać pełne grozy wspomnienia wojny światowej. Pokolenie, które dźwignęło na swoich barkach jeden z największych przewrotów historii poczęło się dostosowywać do nowych warunków. Wyścig pracy stał się zjawiskiem powszechnym. W ślad za tym zjawiła się klęska bezrobocia, pogłębił się kryzys ekonomiczny. Głuchy niepokój począł nurtować społeczeństwa.

Rozbrzmiały raz po raz dalekie dzwony alarmowe. Wojna Italo-Etiopska, domowa wojna w Hiszpanii, wojna Chińsko-Japońska. Czerwony Krzyż powrócił do swoich pierwotnych zadań i w myśl podstawowych zasad Konwencji Genewskiej pośpieszył z pomocą do Abisynii, Hiszpanii i na Daleki Wschód, wnosząc wszędzie bezstronny czynnik moralny, górujący ponad przemocą wojny.



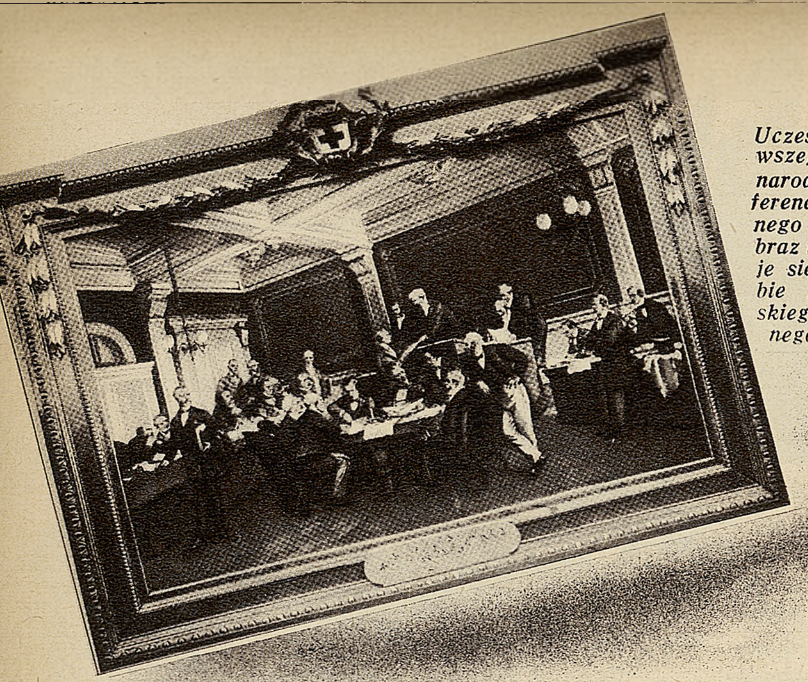
Ucieczka z bombardowanego Szanghaju

Ale jakżeż się zmieniły warunki od czasu bitwy pod Solferino, a nawet od czasu wojny światowej. Wojna powietrzna, bombardowanie miast, druzgocące naloty eskadr nieprzyjacielskich, stosowanie gazów trujących, wytworzyły inną atmosferę wojenną i wpłynęły zwłaszcza na umysłowość ludności cywilnej, która dawniej czuła się poniekąd bezpieczną i do pewnego stopnia nietykalną, wówczas gdy dzisiaj, z chwilą rozpoczęcia działań wojennych grożą jej każdej chwili naloty powietrzne, bomby kruszące i zapalające i zabójcze gazy nie oszczędzające ani kobiet, ani starców, ani dzieci.



Czapei — płonie

Znak Czerwonego Krzyża, który w wojnach poprzednich był naprawdę tarczą i osłoną i stanowił rękojmię bezpieczeństwa — nie może już należycie ochraniać szpitali i jednostek sanitarnych. Widzialność znaku genewskiego nie zawsze jest dostrzegalna dla lotników. Tak było w Abisynii, gdy bomby italskie trafiały w czołówki sanitarne Szwedzkiego i Brytyjskiego Czerwonego Krzyża. W Madrycie naloty nieprzyjacielskie, dokonywane w biały dzień były nieustającą groźbą dla ludności cywilnej. Dzia-



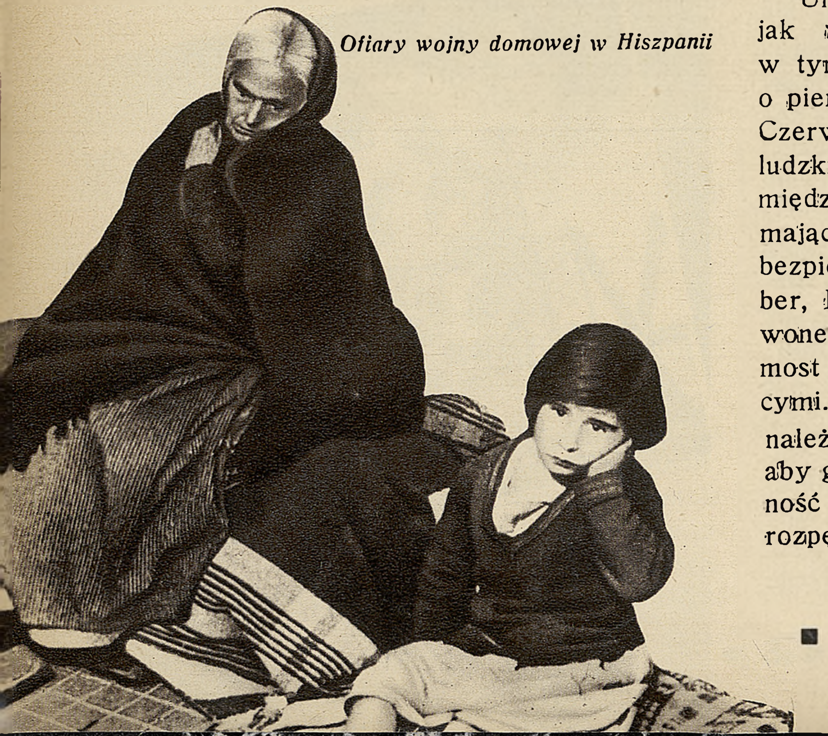
Uczestnicy pierwszej międzynarodowej konferencji Czerwonego Krzyża. Obraz ten znajduje się w siedzibie Amerykańskiego Czerwonego Krzyża.



Henryk Dunant — twórca Czerwonego Krzyża

łania wojenne na Dalekim Wschodzie i groźne wyczyny lotnictwa japońskiego, bombardowanie Szanghaju, Nankinu i innych miast wykazały jeszcze bardziej ślepą bezwzględność wojny dzisiejszej.

A jednak ludzkość ogarnięta szałem wojennym pragnie podświadomie oprzeć się o jakieś wyższe narzucone jej prawa. Hiszpania, targana przez jedną z najokrutniejszych wojen domowych, zapisanych w dziejach świata, depcząca wszystko, co stanowiło jej odwieczną tradycję narodową i religijną, wypełnia zobowiązania, zaciągnięte względem Konwencji Genewskiej i poddaje się zarządzeniom Międzynarodowego Komitetu. Z chwilą rozpoczęcia działań wojennych na Dalekim Wschodzie obie strony walczące zwracają się do Międzynarodowego Komitetu z prośbą o przysłanie swego przedstawiciela na miejsce toczących się walk.



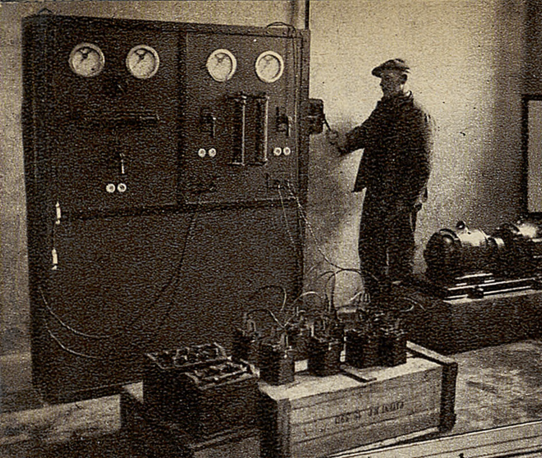
Ofiary wojny domowej w Hiszpanii

Czujność Czerwonego Krzyża nie ustaje ani na chwilę. Pojmuje całą doniosłość swojej roli i liczy się z rzeczywistością. Jeżeli dawna nietykalność miast otwartych i ludności cywilnej przekształca się w zasadę wojny totalnej, nie oszczędzającej ani kobiet, ani dzieci, ani starców, Genewa rzuca projekt „miast sanitarnych", które byłyby czymś w rodzaju nienaruszalnych twierdz Czerwonego Krzyża.

Jako przeciwstawienie groźbie wojny chemicznej, powstają wszędzie drużyny sanitarne Czerwonego Krzyża a pod ich kierownictwem kobiety, młodzież i nawet dzieci szkolą się w ratownictwie przeciwgazowym i tworzą kadry ratownicze, obejmujące całe niemal społeczeństwo.

Umysł ludzki sili się wszędzie, by stworzyć jak najskuteczniejsze narzędzia zniszczenia; w tym strasznym wyścigu państwa zabiegają o pierwszeństwo. Równolegle rozwija się akcja Czerwonego Krzyża, która wzmacnia uczucia ludzkiej solidarności, nawet wtenczas, gdy ład międzynarodowy jest zakłócony i gdy prawa, mające ograniczać okrucieństwo wojny są w niebezpieczeństwie. Słusznie powiedział Max Huber, Prezes Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, że Czerwony Krzyż to ostatni most przerzucony pomiędzy narodami walczącymi. Należy czuwać, by most ten nie runął, należy go uchronić od gwałtu, czuwając nad tym, aby główne jego wiązania: neutralność, bezstronność i miłosierdzie nie załamały się pod naporem rozpętanych namiętności.

Zofia Wołłowiczowa



Akumulatornia P. C. K. zasila wszystkie sanitarki

FUNDUSZ OBRONY NARODOWEJ A P. C. K.

Jeżeli w zróżniczkowanym i rozstrzelonym naszym społeczeństwie istnieje jakaś wspólna platforma — jest nią niewątpliwie zagadnienie, tyczące się Armii i obrony narodowej. Na progu tego problemu gasną wszelkie antagonizmy i całe społeczeństwo w zgodnym zrozumieniu jego doniosłości, jednoczy się w wysiłku zmierzającym do zapewnienia potęgi i rozwoju naszej Armii i skutecznej obrony kraju.

Szerokim strumieniem płyną ofiary na rzecz Funduszu Obrony Narodowej. Zarówno jednostki, jak i związki, organizacje społeczne i zawodowe, prześcigają się w składaniu ofiar pieniężnych lub w naturze na ten cel w rzeczy samej dla całego bytu Polski — najważniejszy.

Wśród szeregu integralnych składników obrony narodowej, jak lotnictwo, flota, motoryzacja armii lądowej itp., niezmiernie ważne, choć niestety, nie dość może oceniane miejsce zajmuje — organizacja służby sanitarnej. Żadna walka nie obejdzie się bez ofiar, toteż należyte zorganizowanie pomocy sanitarnej zarówno dla żołnierzy, jak i, niestety, w warunkach wojny totalnej — dla ofiar z pośród ludności cywilnej, jest zagadnieniem pierwszorzędnej wagi i mieści się całkowicie w ramach obrony narodowej.

Polski Czerwony Krzyż, jak wiadomo powszechnie, jest jedyną instytucją społeczną, powołaną na mocy Konwencji Genewskiej do współdziałania z armią w zakresie organizacji służby sanitarnej dla wojska w czasie wojny.

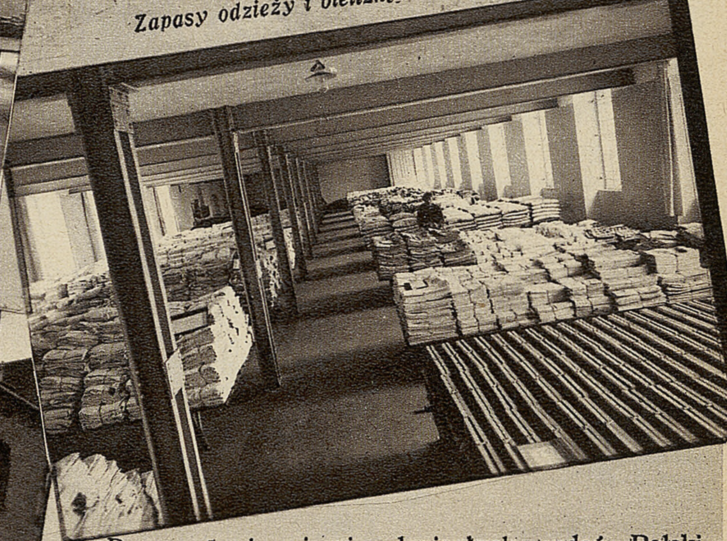
Pod sztandarem i w ramach Czerwonego Krzyża muszą się znajdować wszystkie organizacje lub osoby, które zechcą nieść pomoc chorym czy rannym żołnierzom i poszkodowanej ludności cywilnej.



Kuchnie polowe, jakie P. C. K. przygotował



W składnicach P. C. K. piętrzą się stosy apteczek, przygotowanych dla potrzeb ludności na wypadek wojny lub klęsk żywiołowych



Zapasy odzieży i bielizny



Gmach składnicy głównej P. C. K.

Do swych niezmiernie doniosłych zadań Polski Czerwony Krzyż musi być przygotowany bardzo wszechstronnie.

Toteż społeczeństwo winno mieć pilnie na uwadze, że każda ofiara złożona na Polski Czerwony Krzyż, jest darem na Fundusz Obrony Narodowej, że armia posiadać musi oprócz sprzętu bojowego dla zwycięskiej walki — sprawną i zasobną organizację pomocy sanitarnej.

Atak z powietrza zastał ludność nieprzygotowaną



Pierwsze bomby



PRZED ATAKAMI Z POWIETRZA

O grozie przyszłej wojny tyle pisano, że zbytecznym byłoby dłużej się nad nią rozwodzić. Powszechnie wiadomo, jakim śmiercionośnym narzędziem, dzięki ciągłym postępom techniki. stało się lotnictwo, które w obecnych warunkach zagrażać może nawet najdalej od linii nieprzyjacielskich położonym osiedlom. Ogół zatem obywateli jest dostatecznie poinformowany o niebezpieczeństwie, jakie grozi ich życiu i mieniu w razie wybuchu konfliktu zbrojnego. Nikt również, z pewnością, nie wątpi, że tylko te kraje będą mogły niebezpieczeństwo to znacznie zredukować, które zawczasu przygotują sprawnie działającą obronę ludności przed atakami lotniczymi i gazowymi.

Nasuwa się pytanie, na kim ma ciążyć obowiązek przygotowania tej obrony? Na Państwie, czy też na samej ludności? Nie ulega wątpliwości, że wysiłek w tym kierunku musi być wspólnie podjęty. Nie można bowiem wymagać od Państwa, którego naczelnym zadaniem winna być dbałość o należyte przygotowanie armii do obrony kraju, aby poza tym brało ono jeszcze na siebie całkowity ciężar zabezpieczenia ludności przed skutkami ataków nieprzyjaciela z powietrza.

Do Państwa, w pierwszej mierze, powinno należeć organizacyjne opracowanie całego aparatu obrony, kierowanie nią i kontrola nad jej przygotowaniem, oraz — rzecz prosta — zabezpieczenie również własnych organów: biur, urzędów, przedsiębiorstw państwowych itp. Natomiast, jeśli chodzi o ogół ludności, to wykonanie tych przygotowań spoczywać musi na niej samej.







Zapasy piasku potrzebne są w każdym domu do tłumienia ognia.



Należyte zorganizowanie pomocy sanitarnej, zarówno dla żołnierzy, jak i — w warunkach wojny totalnej — dla ludności cywilnej, jest zagadnieniem pierwszorzędnej wagi. Walczącej armii będą potrzebni nie tylko żołnierze, samoloty i karabiny, ale zarazem nosze, opatrunki, środki transportu chorych, szpitale i wykwalifikowana opieka. Przygotowanie tych koniecznych elementów obrony narodowej, należy w znacznej mierze do Polskiego Czerwonego Krzyża.

Sekcja ratownicza Polskiego Czerwonego Krzyża.



Udział w nich muszą zatem wziąć gminy, instytucje i zakłady użyteczności publicznej, zakłady przemysłowe, stowarzyszenia społeczne, powołane do tego na mocy swych statutów, a w zakresie obrony własnego zdrowia i mienia — każdy obywatel.

Słuszna ta zasada rozłożenia odpowiedzialności i ciężaru świadczeń na wszystkich, znalazła swój wyraz w „Rozporządzeniu Rady Ministrów o przygotowaniu w czasie pokoju obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej Państwa", które m. in. postanawia, że:

„Obowiązek zabezpieczenia siebie i swoich najbliższych oraz ochrony swego mienia przed napadami z powietrza ciąży na każdym obywatelu.

Władze drogą zarządzeń nadają kierunek niezbędnym w tym celu czynnościom, a korzystając ze współpracy z powołanymi organizacjami społecznymi, ułatwiają obywatelom spełnianie ciążącego na nich obowiązku".

Postanowienie to nie znaczy bynajmniej, aby obrona obywateli przed napadami z powietrza miała ograniczać się wyłącznie do samoobrony. Przewidziany został poza nią cały szereg organów publicznych obrony - dzielnicowych i miejskich, których zadaniem jest przyjść ludności z pomocą wtedy, kiedy likwidacja skutków napadu przekracza możliwości samoobrony.

Jasnym jest jednak, że organy te nie podołałyby nigdy swemu zadaniu, gdyby były zmuszone interweniować w każdym, nawet najbłahszym wypadku. Przecież nawet w czasie pokoju, w razie powstania pożaru w mieszkaniu, lub zranienia się kogoś z domowników, nie czekamy bezradnie na przybycie straży ogniowej, czy lekarza, lecz staramy się najpierw sami, albo przy pomocy sąsiadów ogień stłumić w zarodku, a rannego doraźnie opatrzyć. Tym bardziej więc w czasie wojny, podczas ataku lotniczego, kiedy zapotrzebowanie publicznych organów obrony na raz mnożyć się będą, ludność niejednokrotnie zmuszona będzie, szczególnie w bardziej zagrożonych osiedlach, liczyć przede wszystkim na własne siły i własną umiejętność. Stąd też konieczność dla niej takiego przygotowania się, aby potrafiła i była w możności samodzielnie zastosować najniezbędniejsze środki i sposoby obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej. Przygotowanie to będzie stanowić podstawę dla zorganizowania samoobrony, o której pomówimy obszerniej w nast. numerze.

Dr T. Dzierzkowski



Ulica w Madrycie po nalocie eskadr lotniczych

ZNACHORZY

Gdy rosół z czarnej kury staje się lekarstwem

Mieszkańcy wyspy Borneo chorobę tłumaczą opuszczeniem ciała przez duszę i dlatego, żeby wyleczyć chorego, wysyłają specjalistę „łowcę duszy", żeby ją z powrotem przyniósł cierpiącemu i pozbawił go w ten sposób choroby. Samojedzi, w przypadku choroby, stroją się w skóry zwierząt dzikich i w tych najdziwaczniejszych a zawsze przerażających strojach, wypędzają demona z ciała chorego. W podobny sposób leczą chorych różne dzikie i na-pół dzikie narody, nic mówiąc już o wszelkiego rodzaju amuletach, urokach, zamawianiach.



Znachor „wyręcza" lekarza chorób dziecinnych



„Sala operacyjna" w młynie. Jedynym narzędziem chirurga jest zwykły nóż kuchenny. Takie fakty zdarzają się nie tylko w filmie, jaki niedawno wyświetlano.

Pogląd na choroby jako na wynik działania siły wyższej w najróżnorodniejszych postaciach istniał pierwotnie u wszystkich ludów świata. Pierwsi w historii wielcy realiści Grecy wprowadzili racjonalne pojęcie choroby już 2.000 lat temu, pomimo to jednak pierwiastek nadzmysłowy w powstawaniu choroby, a tym bardziej w jej leczeniu, przetrwał do dzisiejszych czasów i nie prędko pewno całkowicie zniknie. Tu też należy szukać głównego źródła znachorstwa.

Wiedza nasza rozrasta się niepomiernie, technika pozwala na wyzyskanie zdobyczy naukowych we wszystkich dziedzinach życia. W sferze uczuciowej za ten sam okres czasu nie zmienił się człowiek wiele. Wpływ kulturalny jest tu o wiele powolniejszy. I w chwili obecnej nie ma przepaści w tej dziedzinie między kmiotkiem a profesorem uniwersytetu. Kto z nas jest zupełnie wolny od przesądów? Chyba nikt. Naturalnie w chorobie ta chwiejność naszej sfery uczuciowej występuje najjaskrawiej. Człowiek chory w sprawach, dotyczących jego życia, kieruje się nie rozumem i zdrowym rozsądkiem, lecz instynktem i uczuciem, do których łatwiejszy dostęp mają obrzędy magiczne, niezrozumiałe formułki i tajemnicze zaklęcia, niż fakty naukowo uzasadnione. Rosół z czarnej kury, zarżniętej o północy, odpowiednio ugotowanej, wypity po odmówieniu trzy razy „Zdrowaś Maria", jest znacznie skuteczniejszym środkiem kuracyjnym, niż przygotowany ze zwykłej kokoszki bez żadnych obrzędów, zaklęć i tajemnic. My ludzie wykształceni — nie wysyłamy wprawdzie znachora, żeby szukał zbłąkanej duszy chorego, nie prosimy, żeby wypędzał „diabła-chorobę" strasznym wyglądem, krzykiem, zaklinaniami, nie szukamy na rosół koniecznie czarnej kury, ale uciekamy się do najwięcej obiecującego szarlatana, nie posiadającego żadnej wiedzy lekarskiej, tylko bardzo wyrafinowaną technikę zdobywania pacjenta i omamiania go, i wierzymy, że w oczach naszych, w wyglądzie twarzy lub rąk, w wydzielinach, na odległość z opowiadania „przez koncentrację woli i wejrzenie w siebie" zdolny jest on odgadnąć chorobę osoby, której nie badał i nie widział. Używamy później tajemniczych ziół, napojów i eliksirów, niewiele więcej wartych, niż sławetne „expellery" chłopskie. Ludzie nieoświeceni są tylko o tyle mniej wybredni, że zadawalają się prostszą techniką badania i przenikania przez takiego eksperta w świat nadzmysłowy, bez którego tak trudno wszystkim nam się obyć.

Opowiadają nam i piszą o znachorach w zapadłych wioskach, o zamawiaczach wśród analfabetów, o szeptunach w lasach wileńskich i błotach poleskich. A gdybyśmy zajrzeli do gabinetów znachorów stołecznych (szarlatan wielkomiejski to też tylko znachor!), kogo byśmy tam znaleźli? Nie maluczkich i umysłowych prostaczków, bo dla nich te gabinety są niedostępne, lecz najmożniejszych świata tego, nawet elitę z wykształcenia — inżynierów, adwokatów, profesorów, ministrów i o zgrozo! księży i lekarzy! Dość staranne badania, przeprowadzone w krajach, jak Niemcy, Anglia, Stany Zjednoczone, w których znachorzy leczą prawie lub zupełnie bez przeszkód i są rejestrowani, dowodzą niezbicie, że najzagorzalsi entuzjaści szarlatanizmu należą do warstw inteligencji. Wszystkie warstwy korzystają z pomocy szarlatanów, najmniej jednak ludzie niezamożni, szczególnie tam, gdzie mają udostępnioną fachową pomoc lekarską. Tym się też tłumaczy, dlaczego na zachodzie Europy szarlatanizm jest główną plagą miast, nie wsi, jak również to, że w stosunku do lekarzy w takich krajach np., jak Niemcy, liczba znachorów nie spada, lecz raczej zwiększa się.

Przy tym organizują się oni coraz więcej, urządzają międzynarodowe kongresy, tworzą swoje związki bardzo potężne, rozporządzające dla celów reklamowych ogromnymi środkami, przenikają do najwyżej postawionych osób, szukając u nich swego oparcia i obrony interesów, a szerokie warstwy publiczności te starania bardzo umiejętnie prowadzone, czynnie wspierają. Najniebezpieczniejszymi są znachorzy sektanci, gdyż wprowadzają oni z jednej strony czynnik wiary, z drugiej bezinteresowności, przynajmniej pozornej. Rozwój znachorstwa w Niemczech najlepiej charakteryzuje fakt, że mają tam oni około 150 czasopism. W Anglii czasopismo wyraźnie znachorskie „Health for All" tłoczy 24.000 egzemplarzy. Stowarzyszenia amerykańskich szarlatanów posiadają swoje „uniwersytety" z paroletnim kursem, wydają dyplomy, zapewniają swoim członkom porady prawne, udzielają pomocy materialnej itp.

O wzięciu znachorów najlepiej mówią ich zarobki. Według własnych oświadczeń najbardziej wybitnych z nich zarabiają oni znacznie więcej, niż największe powagi lekarskie. Biedna klientela nie mogłaby im dać tego. Trzeba także dodać, że znachorzy cudotwórcy zarabiają wiele, bo przyjmują niekiedy po paręset osób dziennie, co u nich, rozpoznających chorobę od jednego wejrzenia, napotyka stosunkowo na wiele mniejsze trudności, niż u lekarza, który musi pacjenta wszechstronnie zbadać.

Drugą niezmiernie ważną przyczyną rozpowszechnienia się znachorstwa jest właściwa każdemu człowiekowi chęć życia za wszelką cenę i dążenie do pozbycia się



„Znachor" w ujęciu Janoszy Stępowskiego.

jeśli nie choroby to cierpienia. Medycyna legalna zaspokoić tego instynktownego dążenia nie może, nie uwalnia od choroby, nie ratuje od śmierci z racji swej niedoskonałości. Nie umiemy leczyć radykalnie wielu najbanalniejszych, najbardziej rozpowszechnionych chorób, nie umiemy ani zapobiegać ani leczyć najczęściej spotykanych w wieku starszych chorób degeneracyjnych, jak: rak, choroby narządu krążenia, przemiany materii. Ktoś trafnie powiedział, że działalność lekarza w chorobie można przyrównać do roli pilota, który ma przeprowadzić statek przez niebezpieczną strefę. To porównanie wymaga uzupełnienia: im bliżej końca życia, tym bardziej przebywane strefy najeżone są niebezpiecznymi skałami, a prędzej lub później statek rozbić się musi (eufemicznie mówimy — dobija do portu), z czym my się zgodzić nie chcemy.

Pilot-lekarz, jako fachowiec, zna wszelkie niebezpieczeństwa i od niektórych może ustrzec, ale niestety nie od wszystkich, a jeżeli jest uczciwy, nie obiecuje tego, czego nie może dokonać. Znachor, odgrywający rolę pilota, jest tylko ryzykantem, który o niebezpieczeństwach nie ma w ogóle najmniejszego pojęcia i jedzie na ślepo, „może wszystko", przejdzie czasem nawet tam, gdzie lekarz nie zdecydowałby się przeprowadzić statku, ale nie dzięki swej umiejętności, lecz wyłącznie na skutek ślepego przypadku. W wielu okolicznościach statek może bez żadnego przewodnika przebrnąć najbardziej niebezpieczne wody — przypadkowo. I to jest wyjaśnieniem często spotykanego twierdzenia, że tego lub owego oficjalna medycyna wyleczyć nie mogła, a znachor wyleczył. Nie, nie wyleczył, tylko nie przeszkodził naturze, która sama uporała się z chorobą.

Czy wobec tego można liczyć na wykorzenienie znachorstwa? Niełatwa to sprawa i całkowicie w najbliższej przyszłości chyba nie można o tym marzyć, na co wskazują również doświadczenia obce, można jednak zło stąd płynące znacznie ograniczyć.

Postęp wiedzy lekarskiej, oświata, racjonalne uświadomienie nie mogą przyczynić się do zmniejszenia plagi znachorstwa, ale żadna oświata nie upora się sama przez się ze znachorstwem. Nie bez znaczenia jest prawodawstwo, które w większości krajów, między innymi u nas, jest dla szarlatanerii nieprzychylne. Jednak wiemy z doświadczenia, że pomimo nieprzyjaznych przepisów prawnych, istnieją u nas znachorzy zarówno w miastach, jak i na wsi. Represje więc też nie wystarczają do wykorzenienia tego zła, choć mają pewne znaczenie. Wiadomo, że najwięcej szarlatanów mają Niemcy, Stany Zjednoczone, a więc kraje, których prawodawstwo najmniej czyni przeszkód w uprawianiu znachorstwa.

Najważniejszą jednak rzeczą w zwalczaniu znachorstwa jest uprzystępnienie fachowej pomocy lekarskiej ludności niezamożnej, która dziś leczy się u znachorów często tylko dlatego, że znachor jest dostępniejszy, tańszy, bliższy duchowo, niż lekarz prawdziwy, daje leki, więcej wyzyskuje czynnik psychiczny (działa na wyobraźnię!).

Niedopuszczalne jest, żeby znachor odgrywał rolę lekarza dlatego, że prawdziwego lekarza nie ma. Gdyby na wsi polskiej było więcej lekarzy, byłoby o wiele mniej wszelkiego rodzaju szeptunów, zamawiaczy, kostoprawów. Tam, gdzie opieka lekarska jest wystarczająca i dla wszystkich dostępna, tam znachorstwo jest o wiele mniej niebezpieczne, niż u nas. Trzeba pamiętać bowiem, że do znachorów uciekają się przede wszystkim ludzie, dotknięci chorobami przewlekłymi, których lekarz prawdziwy albo wcale nie może wyleczyć, albo przynajmniej nie pomaga tak radykalnie w tak szybkim czasie, jak oni tego pragną. W tych wypadkach często najlepszym lekarzem jest czas, z czym chory nie chce się zgodzić, a co znachor umiejętnie wyzyskuje. Natomiast chory zakaźny, kobieta przy ciężkim wypadku położniczym, człowiek dotknięty zapaleniem ślepej kiszki, ze złamaną ręką lub nogą i w większości innych chorób na początku, jeżeli ma obok lekarza, najpierw u niego szuka pomocy i to jest najważniejsze. Nie jest pożądane wprawdzie, żeby chory na raka, na przewlekłe schorzenia i degenerację organów wewnętrznych, na gruźlicę, leczył się u znachora, bo to także może skrócić jego dni, albo doprowadzić chorobę uleczalną do stanu nieuleczalności, ale procentowo są te wypadki o wiele mniej liczne i leczenie ich przez znachorów mniej społecznie groźne.

Tam, gdzie znachorstwo jest ucieczką od medycyny prawdziwej, nie zaspakajającej chęci życzeń (niekiedy sprzecznych z prawami natury), jest ono o wiele mniej niebezpieczne, niż tam, gdzie jest ono jedynym leczeniem, a więc i w tych wypadkach, w których medycyna i jedynie medycyna wiele może.

Dr Marcin Kacprzak

SIOSTRA PILAR
z Kastylii



...iech „przedrewolucyjny" Hiszpanki

...wszystkie kobiety hiszpańskie ...tąpiły w szeregi samarytańskie Czerwonego Krzyża

W rocznicę rewolucji październikowej w madryckim kinie „Kapitol" wystawiono wielki film sowiecki „Marynarze Kronsztadu". Jest to obraz z oblężenia Petersburga przez wojska Judenicza, w grudniu 1919, i jest tam młody marynarz bolszewicki, którego zachwyca dostojna, arystokratyczna uroda tajemniczej Rosjanki, opiekunki sierot rewolucji, żony dowódcy czerwonego pułku piechoty. Traf chciał, że w kilka dni później poznaliśmy siostrę miłosierdzia w Santa Maria de Colomera, w górach Guadarramy, i że w tej wysokiej, starszej pani, pięknej jeszcze, odnalazłem wdzięk bohaterki sowieckiego filmu. Poza śladem pewnego podobieństwa posiadała jeszcze jedną cechę, wspólną z ową smutną panią z „Marynarza Kronsztadu": sprawiała wrażenie surowej. Może właśnie dlatego odesłano ją do kolumny Mangada, gdzie słynny w swoim czasie dowódca poprzeganiał różne madryckie dziewoje, w dość markietański sposób pojmujące swe zadania sanitariuszek. Ale ranni, niscy, ogorzali chłopi kastylscy, patrzyli nieufnie na piękną panią. Coś się nie mogło przełamać pomiędzy rannymi żołnierzami rewolucji a kierowniczką czerwonego lazaretu! Niemniej gdy szła przez pokoje Ayunciamienta, zamienione na szpitalik, czerwony lazaret zmieniał od razu ton. Wysoka pani wyglądała wtedy, w swym białym kitlu z oznaką czerwonego krzyża, jak ksieni jakiegoś arystokratycznego klasztoru, jakich pełno miała Hiszpania, i w których skwaszało się nadmiar ziemiański sióstr i córek, dla których nie starczyło bądź urody, bądź posagu. W parę tygodni potem widziałem ją w wielkim szpitalu oftalmicznym w Madrycie, gdzie leżeli także i Polacy. Był to duży dziwny awans. Dowiedziałem się wtedy o niej dosyć dużo powierzchownych rzeczy. Że ranni, którzy przychodzą z pola i klną zrazu strasznie, nie klną na sali siostry Pilar. Nie wiadomo dlaczego, bo ani się tym nie uraża, ani o to nie prosi, ani o to nie skarży, ani nie udaje nawet że nie słyszy. Zważa na nich jednakowo obco





W oczekiwaniu na sygnał ataku



Pierwsza pomoc

i daleko. Nie można powiedzieć, by ją lubili. Polacy nazywali ją „krabina". Opowiadano, że nie może wychodzić na ulice rewolucyjnego miasta. Z taką postawą nie sposób. Ale siostra Pilar nie wychodziła prawie nigdy. Dowiedziałem się też jej nazwiska. Maria Pilar Gomez. Mogło to być bardzo dobrze i mogła to być „nic", ale nie myślało się o tych rzeczach. I nawet mało już widywałem siostrę Pilar.

W kilka tygodni potem, w Paryżu, nie spodziewałem się spotkać nigdy, ani nigdy już o niej usłyszeć, gdy poszedłem do głośnego polityka Hiszpanii, słynnego ongiś w Madrycie lekarza i republikanina, Gregoria Maranona. Udzielił mi wywiadu, w którym w sposób jak najostrzejszy odcinał się zarówno od Hiszpanii czerwonej jak i od własnej przeszłości politycznej. Gregorio Maranon przebył pierwszych cztery miesiące w Madrycie rewolucyjnym jako kierownik szpitali madryckich. W wywiadzie opowiedział jak to co dnia zwożono z parków podmiejskich i błoń zwłoki ludzi porwanych, wsadzanych do samochodów i rozstrzelanych gdzieś na rozdrożu przez „nieznanych sprawców". Wszystkie szpitale madryckie, nim jeszcze nie nadeszła fala ofiar wojny, zamieniły się w kostnicę. Rozpoznawano zwłoki. Dr Maranon obliczał, że 36.000 ludzi przeszło tak przez jego szpitale na cmentarze. Nie było dnia, żeby nie odnajdywano znajomych dra Maranona, i sam w liście rozpoznawczej codziennie znajdywał kilka, kilkanaście dobrze mu znanych nazwisk. To nie byłem ja jeden, mówił. Bywało gorzej. Znałem siostrę miłosierdzia, jedną z moich sióstr miłosierdzia, która tak odnalazła dwóch swoich synów, brata, innych...

Siedzieliśmy w wielkim hotelu, przez okna sączył się powolny gwarliwy zmierzch wielkiego miasta. Dr Maranon nie powiedział nic więcej. Ja zaś powiedziałem naraz:

— Pilar Gomez.

Dr Maranon nie zdziwił się zupełnie: ostatecznie mógł myśleć, że słyszałem historię, bądź co bądź nie taką sobie zwykłą, podczas pobytu w Madrycie. Zapytał się kiedy i gdzie widziałem siostrę Pilar. Odpowiedziałem pokrótce. Dr Maranon zamyślił się i patrzył przez okno, na Paryż, w zmierzch. Wtedy ja zapytałem:

— Kto to jest siostra Pilar?

Dr Maranon namyślił się, jakby dokonywał jakiejś diagnozy lekarskiej. Potem powiedział:

— Siostra Pilar jest kastylianką. Jest szlachcianką. I zgubiła ją medycyna. A medycyna przeze mnie.

Trzeba rozumieć prawdziwe znaczenie tych słów. Kastylianka, — o, to nie jest coś co my nazwiemy Hiszpanką. Za Pirenejami począwszy nie ma Hiszpanek, nie ma Hiszpanów. Jest Walencja i Walenczycy, jest osobno Andaluzja i jej rasa ludzka, jest Galicja i są Galledzy. Kastylia i kastylskość — to to, co najbardziej hiszpańskie. Szlachta — to cała kasta, ściśle z sobą związana i jedna.

— Medycyna?...

Ale dr Maranon mówił już bez wysiłku naraz, jakby chcąc powiedzieć przy tej okazji jak wielkim czynnikiem była medycyna w dziejach współczesnego świata, on zaś w dziejach medycyny hiszpańskiej. Medycyna swymi ostatnimi zdobyczami lat kilkudziesięciu przedłużyła życie ludzkie, oddaliła starość, złagodziła ostrość dawnych niebezpieczeństw dla zdrowia. On zaś zorganizował służbę medyczną (istotnie nadzwyczajnie wyposażoną) Hiszpanii. Masy żyły nie wiele lepiej niż dawniej, ale cała burżuazja, wszystkie warstwy zamożne, miały swe życie ochraniane, kultywowane, bronione jak nigdy przedtem. Wówczas mogło powstać coś takiego jak siostra Pilar...

Siostra Pilar wyszła za mąż mając lat szesnaście. Tak jak zawsze wychodzono za mąż w Hiszpanii. Po latach dziewięciu miała tyleż dzieci. Wszystko to było w porządku, bo tyleż dzieci miały siostry i krewne świętej Teresy. Ale takie same Marie Pilar w wieku XII, XIII i następnych umierały przy pierwszym połogu, lub trzecim, lub szóstym, a w każdym razie przy dziewiątym. A w wieku XX wdała się w to za pośrednictwem doktora Maranon medycyna. Siostra Pilar przyniosła z Kastylii, spod Salamanki, twarde zdrowie kobiet kastylskiej wsi. Jej mąż był inżynierem w przemyśle hiszpańskim, mieszkali w Madrycie, mieście świetnie wyposażonych szpitali. Nauka doktora Maranon i twarde zdrowie Marii Pilar sprawiły, że życie Marii Pilar przetrwało dziewięć następujących po sobie połogów. A co



W szpitalu Czerwonego Krzyża w Madrycie



gorsza przetrwała je i jej młodość. Mając lat dwadzieścia sześć Maria Pilar miała wprawdzie dziewięcioro dzieci, ale dalej wyglądała — cudo, które od wieków nie miało miejsca w Hiszpanii — na swoich własnych lat dwadzieścia sześć...

Gdyby Maria Pilar ze swym dziewięciorgiem dzieci żyła dalej pod Salamanką, nie wytrzymałaby pewnie dalszych lat dwudziestu! Stałaby się dawno starą kobietą, przygarbioną rozlicznymi troskami dzieciarni. Ale Maria Pilar mieszkała w Madrycie, jej mąż oddawał dzieci do konwiktów, szkół dla panien i Anglii, i dzieci nie stały na drodze Marii Pilar. I w Madrycie poznała Maria Pilar Angielki, którychby nie poznała w Salamance. i dowiedziała się, że dla nich życie nie kończy się w dwudziestym szóstym roku życia. W każdym innym kraju Maria Pilar, spłaciwszy suty haracz t. zw. wymaganiom ludzkości od kobiety, weszłaby, z pełnym zrozumieniem, w inne, własne, swoje życie. W Hiszpanii, gdzie kobieta może być tylko zakonnicą, prostytutką lub matroną, w Hiszpanii Don Juana, którego wielkość była wprost proporcjonalna do ilości zaznanych kobiet, jak możność szejków z Marokka liczy się na barany i wielbłądy, w Hiszpanii Don Juana nie było miejsca dla Marii Pilar. Dla takiej miłości, takiej przygody, czy takiego wreszcie pojmowania życie, jakie nabyła Maria Pilar. Pewnego więc dnia wyjechała na bardzo długo do Anglii. W Hiszpanii bywała po kilka razy do roku.

Do Hiszpanii wróciła Maria Pilar na stałe bardzo późno. Prowadziła wojnę ze swymi hiszpańskimi synami. Skakała ludziom i mężowi do oczu o swe hiszpańskie córki. Wszędzie gdzie mogła starała się, by nie było tu inaczej, niż na całym świecie. Żeby stosunki hiszpańskie przypominały bardziej kraje anglosaskie niż marokański Riff, oazy z haremami bez okien, i narzeczonymi w wieku lat jedenastu.

Wtedy poznała bliżej dra Maranona. Wtedy weszła do zarządu madryckich szpitali.

Rewolucja, która przyszła, nie była wcale rewolucją pragnioną przez Marię Pilar. Myślę, że była rewolucja, którą przecież rozumiała. Nie wychyliła się z murów szpitala. Zresztą fala masakry rzucała codzień swój piarg o te mury. Siostra Maria Pilar nachyliła się nad trupem syna, pewno falangisty, nad trupem drugiego syna, i nad setkami ludzi których znała żywych w tej Hiszpanii, której wydarła kilkanaście lat życia dla siebie, którą znniecierpiała do głębi serca. Przybywali co rana, milczący, ociężali, zastygli, z czaszką rozłupaną wystrzałem. Kładli się równym szlakiem w kostnicach szpitali. Siostra Pilar mogła skryć się w jakiejś ambasadzie, mogła uciec, mogła nawet dostać paszport. Trwała w służbie „Cruz Roja Espagnol". W służbie republiki i rewolucji. Mimo swych synów, mimo swoich. Dlaczego? Może dlatego, że w jej najgłębszym, niemal nieuświadomionym sobie odczuciu, rozpadła się tam jej największa zmora, Hiszpania, czy raczej Kastylia.

Ksawery Pruszyński.



Pierwsze zwiastuny uspokojenia

W schronisku weteranów



WŚRÓD BOHATERÓW 63 ROKU

Data powstania styczniowego niezmiennie budzi w sercu każdego Polaka żywszy refleks. Jesteśmy jeszcze w tym szczęśliwym położeniu, że możemy nie tylko myślą zwracać się ku wspomnieniom tej ostatniej polskiej irredenty, lecz echo jej usłyszeć wprost z ust uczestników zbrojnego czynu.

W schronisku dla weteranów r. 1863, pozostającym pod opieką Polskiego Czerwonego Krzyża, dobiegają kresu chwalebnego żywota przedstawiciele bohaterskiego pokolenia.

Siedzę w pokoiku Mikołaja Cegłowskiego. Dnia 6 grudnia ukończył on równe sto lat życia. Mimo tak pięknego wieku, wraca żywo myślą do tych dawnych spraw, kiedy to po lasach formowała się armia polska. Piękne to były czasy.

— Życie długie. Walczyło się i pracowało wiele. Ale czy inaczej być mogło? Moi synowie poszli także do spisku. Najstarszy uciekł za granicę. Musiałem się przekradać za kordony, by mu dostarczyć dokumentów i środków. Drugi wydalony został ze szkoły za manifestację trzeciomajową. Ukończył studia w Charkowie, a potem pracował nad mongolską granicą.

W tej urywanej opowieści ojca-powstańca o synach, którzy też „poszli do spisku", tkwi może najgłębsza treść i wartość powstania 63-go roku. Było ono szkołą czynu patriotycznego z pokolenia na pokolenie.

Pani Maria Magdalena Fabianowska, weteranka 1863, snuje przede mną opowieść o pomocy samarytańskiej dla powstańców.

— W domu, gdzie się wychowywałam, u mego stryja, budowniczego Śliwowskiego, przygotowywało się szarpie, bandaże, pasy, bieliznę. Najlepsze lniane płótno gotowało się w wielkich kotłach, gdzie dla aseptyki dodawało się ługu i chlorku. Wysuszone, gremplowało się ostrym i oczywiście nie mniej starannie wymytym zgrzebłem. Mieliśmy tylko jedno do dyspozycji, więc też trzeba było skubać własnymi palcami. Lecz ważniejsze zadanie bodaj to było dostarczenie tych materiałów oddziałom powstańczym lub rannym rozmieszczonym po domach prywatnych, czy też różnych skrytkach. Wiem, że byli ranni w pałacu Zamojskich (obecnie Min. Spraw Wewn.), w pałacu Grodzickich przy ul. Królewskiej. W pewnej herbaciarni na Mokotowie urządzono nieomal maleńki szpitalik.

Gdyśmy nie raz przy ogniu na kominku, czy małej lampce oliwnej, co ledwie pełgała, zasiedzieli się późno w noc, stryj zachęcał nas do wytrwania:

— Moje panny. To dla Polski. Chyba rozumiecie?

Rozumiałyśmy to aż nadto dobrze. Więc sie-

działo się bez wytchnienia przy tej nużącej dłubaninie. Generał Zamojski, który nas kiedyś odwiedził, z humorem się odezwał:

— Panny by do lasu chciały. Ale to nie wypada. Lepszą tu oddacie sprawie przysługę.

Więc nie uciekłyśmy „do lasu". Mnie natomiasta zdarzyło się dostarczyć transport dla powstańców. Tęgi był tego dnia mróz. Trzęsłam się na wozie, gdzie głęboko w słomie taiły się skrzynie z bielizną, tak potrzebnymi w zimie onucami, bandażami i nieodzownymi szarpiami. Gdzieś pod Pruszkowem wyskoczyła hurmem z jakiegoś zajazdu młodzież. Najwidoczniej czekali na mnie. Zlękłam się trochę. Ale po chwili śmiać już trzeba się było, gdy, popatrzywszy na mnie, zakrzyknęli:

— Przywieźć to nam przywiozła, ale nos panna straci jak nic na tym mrozie.

Obok spraw opieki nad rannymi, trzeba też było myśleć o aresztantach.

Strapione matki czy siostry młodych powstańców starały się ulżyć ich doli, składając odpowiednie prośby gubernatorowi.

Utarł się zwyczaj, że przed kościołem Bernardynów klękały petentki na bruku i wyciągały wysoko w ręku papier z podaniem, ku przejeżdżajcemu dygnitarzowi. Kozak z eskorty, towarzyszącej gubernatorowi, co koń wyskoczy dopadał do klęczących, wyrywał papier z dłoni i podawał moskiewskiemu satrapie.

Trzeba było jednak pewnej odwagi, by nie ulęc się pędzącego kłusaka, który zresztą krzywdy nie zrobiłby pod ręką wprawnego jeźdźca.

Mimo to, nie każda z kobiet chociaż to szło o kogoś bliskiego, decydowała się na ten troszkę cyrkowy popis z papierem, koniem i kozakiem. Nie raz więc wypadło mi wyręczyć kogoś w tej potrzebie.

Wreszcie i ja doczekałam się aresztu. Trzeba było i tego chleba popróbować.

Słuchając tych wynurzeń, podziwiam żywość mej interlokutorki, która do pełnej setki swego wieku ma zaliczyć tylko dwa lata.

Józef Czarnecki

DZIEŁA, TRWALSZE, NIŻ MARMUR

Niezwykła była postać Johna Rockefellera i niezwykłe było dzieło o olbrzymim zasięgu, którego dokonał dla „Dobrobytu ludzkości na całym świecie" jak dumnie głosi hasło fundacji jego imienia.

John D. Rockefeller, urodzony w roku 1838, „król nafty", twórca potężnego trustu Standard Oil Company, jeden z najbogatszych ludzi swej epoki, wychowany w ubóstwie, wciągnięty do pracy od lat chłopięcych, posiadał nie tylko stalową wolę, niezwykłą zdatność do pracy oraz przenikliwość i dalekowzroczność cechującą wielkich finansistów, od lat najmłodszych kochał namiętnie książki i wiedzę. Gdy się począł dorabiać olbrzymiej swej fortuny, zaczął łożyć wielkie sumy na cele publiczne. W roku 1901 założył w Nowym Yorku instytut swego imienia dla badań z dziedziny medycyny i biologii. Stworzył również t. zw. Fundację Rockefellera, mającą na celu popieranie i subwencjonowanie wszelkich poczynań natury naukowej. Fundacja popiera przede wszystkim naukę lekarską, naukę przyrodniczą, naukę społeczną i humanitarną, uwzględniając wszystko, co dotyczy higieny społecznej i zdrowia publicznego, udzielając pozatem licznych stypendiów lekarzom i uczonym.

Na pięciu kontynentach świata roztaczają się dobrodziejstwa Fundacji Rockefellerowskiej, najpotężniejszej na świecie krzewicielki higieny i zdrowia. Za fundusze pochodzące z tego niewyczerpanego źródła powstały szkoły higieny w Stanach Zjednoczonych, w Ameryce Południowej, w Chinach i w licznych krajach europejskich.

Warszawska Szkoła Higieny była pierwszą szkołą tego typu w Europie, założoną przy wydatnej pomocy Fundacji Rockefellera. Otwarta w roku 1926, oddała i oddaje Polsce znakomite usługi i stała się prawdziwym ogniskiem wiedzy promieniejącej na kraj cały.

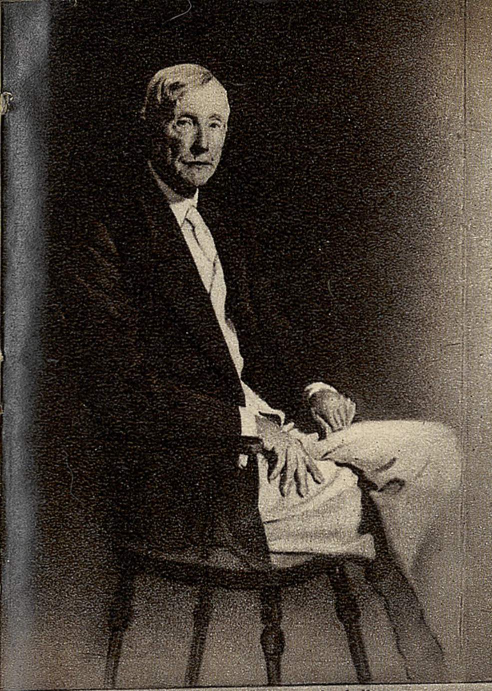
To też słuszną i godną pochwały była myśl powzięta w gronie wdzięcznych polskich Rockefellerczyków wmurowania tablicy pamiątkowej w auli gmachu szkoły dla uczczenia pamięci wielkiego dobrodzieja ludzkości. Uroczystość odsłonięcia tablicy odbyła się w styczniu w Państwowej Szkole Higieny w Warszawie.

Wśród grona osób obecnych na uroczystości znajdowali się liczni przedstawiciele Ministerstwa Opieki Społecznej z p. Ministrem Kościałkowskim na czele, ambasador Stanów Zjednoczonych Drexel Biddle i licznie zaproszeni goście.

Dr Marcin Kacprzak, przemawiając w imieniu fundatorów tablicy, podkreślił wielkie zasługi zmarłego oraz doniosłość idei, której wiernie służy Państwowa Szkoła Higieny:

„...wszyscy my, higieniści, niezależnie od tego gdzie wiedzę naszą czerpaliśmy lub czerpiemy tworzymy jedną całość, zespoloną jednym duchem, wspólną myślą podniesienia stanu zdrowotnego kraju, a to jest naczelnym zadaniem naszej szkoły. Bo nie brąz i nie marmur stanowią o działalności człowieka, o jego wieczności,i tylko myśl, która jest w nich zawarta, tylko twórczy duch ludzki, który wszystko ożywia, ten duch, który na wzór Boski z niczego tworzy coś

Szkoła ta, w której znajdujemy się obecnie, jest pięknym gmachem, którym możemy się poszczycić. Dobrze, że ją mamy, bez istnienia tego warsztatu pracy nie mielibyśmy gdzie skoncentrować wysiłków naszych, ale najbardziej trwałą, najważniejszą rzeczą jest duch, panujący w tych murach. Przez tę instytucję przechodzą corocznie dziesiątki i setki pracowników, z których każdy nie tylko czerpie tu wiedzę, ale jednocześnie bierze cząsteczkę ducha tu panują-



cego, zakaża się niejako wiarą w słuszność sprawy, której ma służyć, zapałem, wyrabia w sobie — powiedziałbym — ten nakaz wewnętrzny, będący najważniejszym regulatorem naszych czynów. I siła tego ducha, pomimo tego nieustającego udzielania się, nie słabnie, bo duch ma to do siebie, że im więcej daje, tym więcej ma do dania. Tak instytucja nasza, pracując naukowo, kształcąc i wychowując coraz to nowe zastępy pracowników — rośnie z każdym rokiem, na miejscu wzmacnia się, potężnieje, przenika na zewnątrz do najbardziej odległych zakątków kraju, krajowi temu zawsze wiernie służąc".

Odsłonięcia tablicy dokonał Minister Kościałkowski. Wyrażając podziękowanie w imieniu swojej ojczyzny, ambasador Stanów Zjednoczonych zaznaczył, że piękna ta uroczystość zacieśni jeszcze bardziej więzy wzajemnego zrozumienia i przyjaźni istniejące między Ameryką i Polską.

Ostatni przemówił Dyrektor Państwowej Szkoły Higieny b. Min. Dr. Witold Chodźko, który w imieniu szkoły podziękował zrzeszeniu Rockefellerczyków polskiej służby zdrowia za zrealizowanie pięknej inicjatywy i uwydatnił wielką filantropijną działalność zmarłego miliardera.

John Davison Rockefeller.







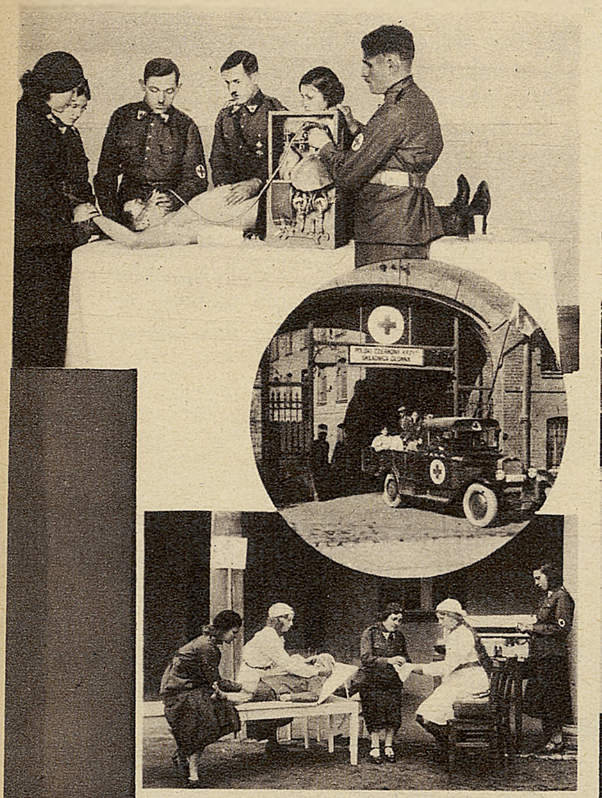




Fundacje Rockefellera w Warszawie.
U góry: Państwowa Szkoła Higieny.
U dołu: Warszawska Szkoła Pielęgniarek.
Tablica pamiątkowa wmurowana w Państwowej Szkole Higieny.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ

Sekcje ratownicze Polskiego Czerwonego Krzyża przygotowują się na wypadek wojny.



„... Dziękuję Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi, że umie myśleć o przyszłości i obronie i że myśl tę umie zrealizować".



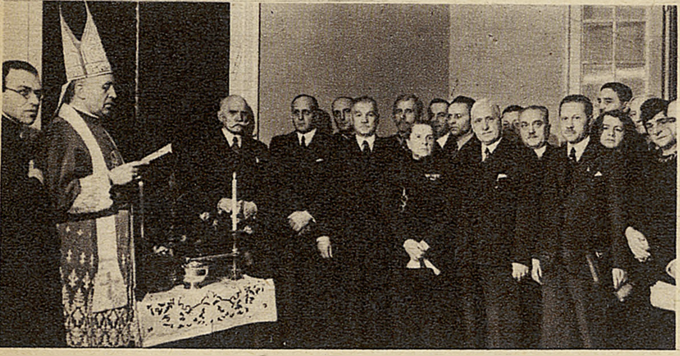
Z przemówienia Marszałka Polski w dn. 21.III 1937 r.



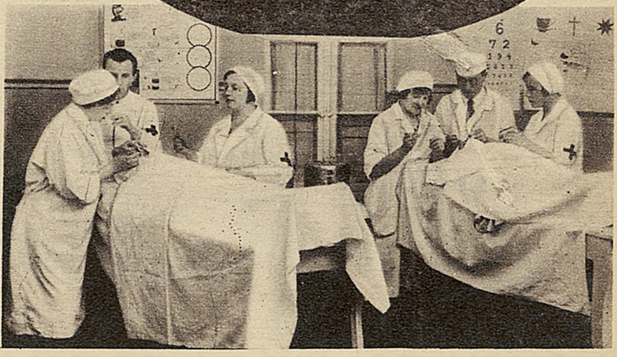
Posiedzenie Rady Głównej P. C. K.

Ćwiczenia polowe sekcji rat.-san. Pol. Cz. Krzyża.

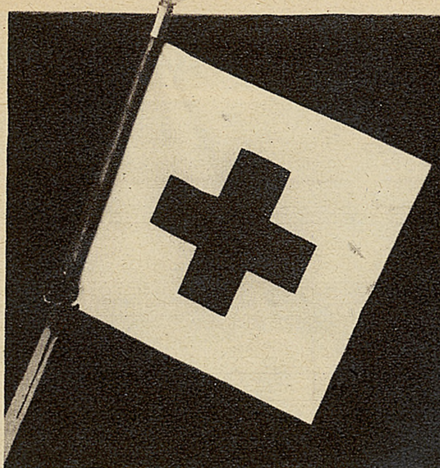




J. E. biskup polowy wojsk polskich Gawlina poświęca nowy lokal Zarz. Gł. P. C. K.

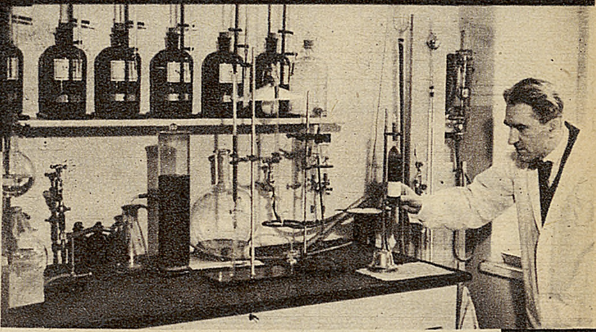


Z działalności lotnych kolumn okulistycznych P. C. K. na Wileńszczyźnie: sala operacyjna.



W ROKU 1937
Jak pracował w całej Polsce

W pracowni chemicznej przy szpitalu gł. P. C. K. w Warszawie.



Pokazy ratownicze drużyn san. P. C. K. we Włodawie.

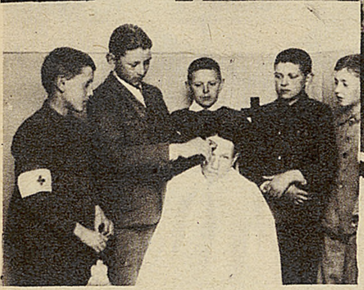




Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod gmach szkoły Pielęgniarstwa P. C. K. w Poznaniu.







Kolumny odkażające Warszawskiego Okr. P. C. K. oczyszczają mieszkania najuboższej ludności stolicy.



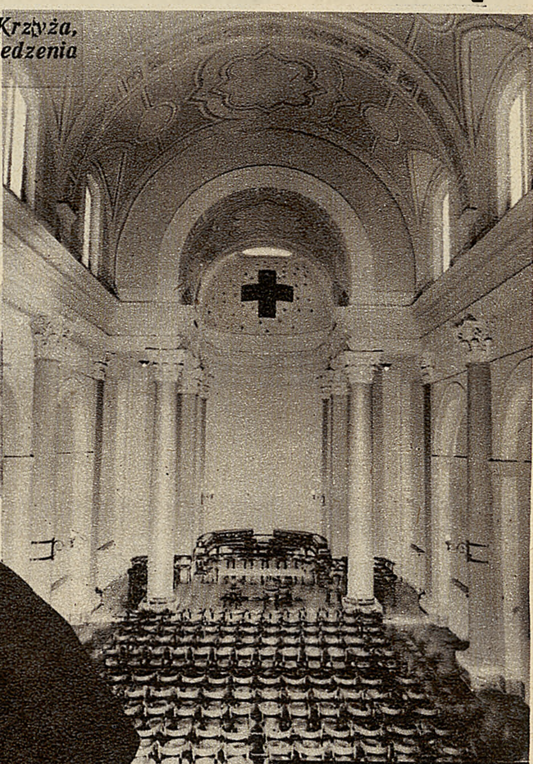
Sto nowych sanitarek P. C. K. powiększyło zapasy środków transportowych P. C. K.

ROK 1937 W ŻYCIU CZERW. KRZYŻA ZAGRANICĄ

Prezydent Roosevelt otrzymuje znaczek Czerw. Krzyża z rąk młodziutkiej członkini Am. Cz. Krzyża młodzieży.



„Świątynia" Italskiego Cz. Krzyża, w której odbywają się posiedzenia Komitetu Gł.









Amerykański Cz. Krzyż niósł pomoc ofiarom powodzi, jaka w r. ub. nawiedziła Stany.



Siedziba Międz. Kom. Cz. Krz w Genewie.





Psy w służbie kanadyjskiego Czerw. Krzyża.

Młody Czerwony Krzyż w Bułgarii.





Dzieci francuskie uczą się zasad ratownictwa.





„Dzieci się bawią" scena w obozie dla powodzian Amer. Cz. Krzyża.



Czerwony Krzyż na Węgrzech.



Afisz propagandowy Siamskiego Cz. Krzyża.



Mussolini w towarzystwie senatora Cremonesi prezesa Italskiego Cz. Krzyża odwiedza dziecinną kolonię Ital. Cz. Krz.

MIĘDZY NAMI

Często bardzo Czytelnicy nasi piszą do Redakcji, dzieląc się z nami swymi spostrzeżeniami i wiadomościami z pracy Czerwonokrzyskiej, lub prosząc o informacje, czy radę. Dotychczas udzielaliśmy odpowiedzi naszym Szanownym i miłym korespondentom bezpośrednio listownie. Sądzimy jednak, że wymiana poglądów na łamach pisma z naszymi korespondentami wzbudzi zainteresowanie wśród ogółu Czytelników i może nie jednemu dać odpowiedź na wątpliwości, lub rozwiązać trudności, które spotyka w pracy organizacyjnej.

Dlatego też z numerem niniejszym otwieramy rubrykę korespondencyjną pt. „Między nami", w której udzielać będziemy odpowiedzi na listy, napływające do Redakcji. Usilnie zachęcamy i prosimy naszych Czytelników o nawiązanie kontaktu z tym działem naszego pisma, przyczyni się to niewątpliwie do zacieśnienia węzłów sympatii i zainteresowania między członkami P.C.K. i jego organem prasowym, który w samym swym założeniu jest rzecznikiem zagadnień i potrzeb naszej Instytucji. Listy kierować należy do Zarządu Gł. P.C.K., Kredytowa 9, Redakcja mies. „Jestem" do rubryki „Między nami".

W numerze dzisiejszym dajemy dwie odpowiedzi zbiorowe, pod adresem Oddziałów, które nas interpelują w tych samych sprawach.

ILOŚĆ EGZEMPLARZY MIESIĘCZNIKA DLA ODDZIAŁÓW i KÓŁ. — Z wielu Oddziałów i Kół otrzymujemy pisma z prośbą o przysyłanie mniejszej ilości egzemplarzy miesięcznika, z powodu niemożności ponoszenia ustalonych kosztów prenumeraty rocznej oraz trudności w kolportowaniu „zbędnych" egzemplarzy. Administracja pisma przy wysyłce do Oddziałów i Kół stosować się musi do uchwały Komitetu Głównego P.C.K. z dn. 12.I.1935, polecającego Oddziałom, Kołom i Instytucjom prenumeratę pisma w ramach określonych kwot pieniężnych i ustalonej ilości egzemplarzy. Zarząd Gł. stanął obecnie na stanowisku, że poczytność pisma w ośrodkach organizacyjnych P.C.K. jest zbyt mała i uchwałą z dnia 18.I.1938 r. postanowił obniżyć prenumeratę pisma do zł 3.— rocznie, zwiększając natomiast kontyngent dla Okręgów, Oddziałów i Kół. Biorąc pod uwagę, że Koła stanowią jednostki finansowe najsłabsze, Zarząd Gł. obniżył dla nich prenumeratę do zł 2.50 rocznie. W ten sposób Zarząd Gł. w ramach dotychczasowych kwot wpłacanych za prenumeratę, dostarczać będzie zwiększoną ilość miesięczników. Co się tyczy racjonalnego dysponowania otrzymanym pismem, to uznać należy, że nie ma chyba tak mało sprawnego Oddziału P.C.K., który by nie potrafił zainteresować oficjalnym organem instytucji macierzystej 10 osób na swym terenie. Zważyć trzeba, że samych członków zarządu w Oddziale jest od 12 do 20 osób. Sądzimy, że w pierwszym rzędzie członkowie Zarządów pilnie powinni interesować się miesięcznikiem i żądać dostarczania go sobie przez biura Oddziałów.

Jeżeli którykolwiek Oddział jest tak słaby finansowo, że absolutnie nie stać go na wydatkowanie 30 zł rocznie na ten cel, sprawą energii i inicjatywy jest pozyskanie dla miesięcznika pewnej ilości odpłatnych prenumeratorów i dostarczanie go im we własnym zakresie, ze swego kontyngentu. Istnieją bardzo niewielkie i niezasobne Oddziały, które dzięki energii i zrozumieniu wartości propagandowych organu prasowego P.C.K. zdobyły po kilkunastu prywatnych prenumeratorów. W każdym razie Administracja pisma żadnych reklamacji co do ilości pisma uwzględniać nie może.

SKŁADNICE OKRĘGOWE. — Wiele Oddziałów zwraca się jeszcze do Zarządu Głównego P.C.K. z zamówieniami na materiał propagandowy. Uprzejmie przypominamy, że z dn. 1.I.1938 r. wszystkie Okręgi uruchomiły własne składnice materiałowe i całkowite zapotrzebowania Oddziałów i Kół będą pokrywane przez odnośne Okręgi.

Mulri.

SKRZYNKA ESKULAPA

Wzorem innych pism, wprowadzamy w naszym miesięczniku rubrykę, zatytułowaną: „Skrzynka Eskulapa", w której zamieszczać będziemy odpowiedzi na skierowane do nas przez Czytelników zapytania w sprawach zdrowia. Działem tym kierować będzie doświadczony lekarz. Zastrzec się jednak musimy, że nie mamy zamiaru udzielać na drodze korespondencji porad lekarskich, w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdyż w przeważającej większości wypadków — lekarz, aby móc choremu przepisać odpowiednie leczenie, musi uprzednio dokładnie go zbadać. Nie będziemy zatem leczyli, ale służyli radami, które będą miały na celu uspokojenie jednych, skierowanie innych do właściwego specjalisty, wskazanie innym jeszcze odpowiedniej diety, czy też zwrócenie uwagi na błędy, popełniane w higienie życia codziennego. Mamy nadzieję, że postępując w ten sposób wywiążemy się najlepiej z zadania, jakie sobie stawiamy, a którym jest dbać o zdrowie naszych Czytelników.

JESTEM! W CZASIE POKOJU I WOJNY NA STANOWISKU
Organ Centralny Polskiego Czerwonego Krzyża

KOMITET REDAKCYJNY: Dr. Babecki Jerzy, Dr. Dzierzkowski Tadeusz, Dyrektor P. C. K. Dr Gorczycki Władysław, Dr. Kacprzak Marcin, Karbowski Jerzy, Dr. Krzewiński Ludwik, Ulrichsowa Maria.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Kredytowa 9, tel. 235-29, czynna codziennie od godz. 10—2 pp. Konto w P. K. O. Nr. 10.540.
Roczna prenumerata Zł 3.—, dla Kół i Instytucyj P. C. K. Zł 2.50 — zagranicą 1 dol. am. Numer pojedyńczy 40 groszy

Redaktor: ZOFIA WOŁŁOWICZOWA Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY P. C. K.
Druk. Rotogr. „Dom Prasy S. A.", Warszawa, Marszałkowska 3.



Z oparów gazów bojowych wyłania się dobroczynny znak Czerwonego Krzyża — symbol pomocy